

Jeżeli nie brać pod uwagę pomarańczowego kapoka i merdających na prawym nadgarstku niklowanych kajdanek, byłem goły. Prąd, który wynosił mnie poza jedyny szlak komunikacyjny w tej części archipelagu, słabł i jednocześnie spychał między rafy. Ocean traktował mnie tak samo, jak inne śmieci beztrąsko wyrzucane za burty niezliczonych stateczków i łodzi, należących do krajowców, zwariowanych turystów i wcale nie zwariowanych hm... żeglarzy.

W ciągu kilku godzin prąd zwolnił i coraz częściej podpływał do mnie bujany falą, plastikowy kanisterek po detergentach, kawałek dechy z jakimś okuciem, pływak styropianowy ze strzępem sieci albo i coś, czego nie można było zidentyfikować na pierwszy, a nawet i na drugi rzut oka. Po zwiększającej się systematycznie częstotliwości takich spotkań dość dobrze się orientowałem, w którym miejscu tego śmietnika aktualnie się znajduję. Odnoga prądu zawracała tutaj wielomilowym łukiem między rafy, większe i mniejsze skały i wysepki, a wszystkie zupełnie niedostępne, nawet dla najmniejszych środków pływających.

Ale śmieci miały się tu doskonale. Prąd stale nanosił tu nowe, kręcił nimi w powolnym tańcu, kożuch odpadków był coraz gęściejszy, a nawet grubszy. Jeżeli pozwolę się nieść tak jak śmieć, to prąd sam wie, gdzie bezboleśnie przekroczyć linię tnących jak brzytwy koralowców i zepchnąć pod same urwiska Świńskich Skał. Miałem tylko nadzieję, że nastąpi to przed nocą i zdążę się wdrapać na coś w miarę suchego i nie chlapiącego w oczy przy każdej okazji. Tej przydługiej i przymusowej kąpieli miałem już dość.

Może, gdybym był młodszy, to próbowałbym energiczniej machać rękami, wybrać jakiś rozsądniejszy kurs na kanale... Ale nie byłem młodszy. Nawet taki oszczędnościowy sposób podróżowania wyczerpał mnie dokładnie. Wielogodzinne moczenie się w wodzie wysssało siły. Nie byłem nawet pewny, jak długo potrafiłbym utrzymać się na wodzie bez kamizelki... Wyglądało na to, że wcale...

Zaraz po wschodzie słońca pierwsza falka, jaka chlapanęła mnie w twarz, kazała mi łyknąć sporo wody. Zakrztusiłem się i o mało nie wyplułem protez — że też nie miały się kiedy odkleić! Niby drobiazg. Pod warunkiem, że jest się w środku Sydney i ma się w kieszeni te 1500 dolców dla dentysty. Ale tutaj zęby, nawet sztuczne, są bardzo ważnym narządem, warunkującym wręcz przeżycie. Schowałem je w zapinanej na rzepy kieszonce kapoka. Bawiąc się w Robinsona Crusoe, niewiele można znaleźć rzeczy jadalnych nie wymagających gryzienia. A jak będę miał duuużo szczęścia, to właśnie czekał mnie bliżej nieokreślony czasowo los samotnego rozbitka. A miałem

prawo wąpć w rozmiar swego szczęścia, widząc na przegubie stalową bransoletkę z łańcuszkiem i uwiązaną do niego identyczną, zatrzaśniętą, tyle że już bez mojego lewego nadgarstka. Ta resztkę szczęścia polegała na tym, że nadal zachowałem umiejętności i elastyczność więzadeł w lewej dłoni. Przy pewnym wysiłku potrafiłem tak stulić dłoń, że kajdanki dawały się zsunąć. Jak było trochę mydła albo jakiegoś tłuszczu, to nawet specjalnie nie zdzierało się skóry z kostek. Tym razem nie dysponowałem takimi pomocniczymi materiałami. Otarcia w morskiej wodzie piekły żywym ogniem, ale tylko przez pierwsze godziny. Potem trochę przywykłem.

Wraz z kozuchem wszelakiego śmiecia zbliżałem się do rumowiska płyt skalnych, wystających tu i ówdzie po parę stóp nad wodę. Większość była poobrastana do wysokości poziomu przyływu najróżniejszym zielskiem, skałotoczami... Tak na oko, to na niektóre z tych płyt potrafiłbym się wdrapać...

Ale było jeszcze za daleko do urwisk klifu pierwszej wysepki. Niech prąd jeszcze troszkę popracuje. Każde sto jardów darmowej jazdy to mniejszy wydatek energii. Jakby mnie doniosło pod urwiska przy tamtym rumowisku, to byłoby miło. Z daleka wygląda, że można będzie przelazić ze skały na skałę, w niewielu miejscach włącząc do wody. A potem tylko wdrapać się na wyspę! No!

Wdrapać się!

Te stu pięćdziesięcio- i dwustustopowe poszarpane pionowe ściany, pełne ostrych krawędzi i przewieszek — im bardziej się do nich zbliżałem, tym bardziej wąpćem w swoje możliwości. Z małpiej urody i talentów to, jak na razie, miałem tylko goły tyłek.

Znałem trochę historię tego archipelagu i jakoś nie słyszałem, żeby ktoś się pchał na te skały i nawet dopchał. A przecież na archipelagu ciekawskich, ambitnych i innych wariatów nigdy nie brakowało! Podobno w czasie wojny próbowali tej sztuki Japończycy, ale to była wojna, a samuraje miewali zawsze mało zrozumiałe pomysły. Jakieś tam bushido i inne takie harakiri.

Byłem już na tyle blisko, że dość niemrawo, ale zawsze z jakimś efektem zacząłem przebierać rękami i nogami. Zbliżałem się do wielkiej płyty obrosłej zielonym, oślizgłym świństwem, wystającej nad wodę w sposób przyjazny nie więcej niż pół stopy. Przynajmniej od strony, do której zamierzałem się przyczepić.

Zbliżanie udało się wspaniale. Nawet się specjalnie nie zmachałem. Ale ucześcić się i wdrapać na skałę to już inna sprawa! Wydęta kamizelka odpychała skutecznie od skały i skracała zasięg rąk na tyle, że w zielsku nie potrafiłem namacać żadnego porządnego uchwytu. Na dodatek, jak opuściłem nogi pionowo przy krawędzi skały, to

poczułem, że prąd ciągnie w dół dużo silniej, niż odczuwałem to na powierzchni. Skąła wyslizgnęła się spod ręki, ale o kilka stóp dalej trafiłem nogami na coś w rodzaju podwodnej półki, ze dwie stopy pod wodą, przy samej skale. Trafienie polegało na bolesnym rozbiciu kolana, ale stanąłem na niej i wślizgnąłem się na miękkie zielsko.

Uwalony na boku, bo pękata kamizelka to nie jest najwygodniejszy strój do wylegiwania się, przymknąłem oczy. Trochę odetchnąć. Tylko niech, do cholery, ta skała przestanie się kołysać! Tyle godzin bujania się na niewysokich, drobnych falkach prądu zakłócało dość znacznie zmysł równowagi. Nie próbowałem nawet wstawać. Nie paliło się.

Chyba się nawet zdrzemnąłem. Słoneczko milutko przygrzewało. Gdy się ocknąłem, byłem suchuteńki. Drzemka trwała na tyle długo, że kapok zachował wilgoć tylko od strony skały. Z wierzchu był suchy. To były zalety tego odpoczynku. A wady? Poczułem się głodny, jak wilk. Kichy aż skręcały się na wspomnienie o jakimś jedzonku. I poczułem ból we wszystkich gnatach i mięśniach! Na samą myśl o wysiłku, choćby takim, jak stanie na nogach, łupało w stopach, kurcze chwytają w łydki... W dłoniach czułem każdą kostkę, każdy staw, każde ścięgno. I czucie to wcale nie przypominało łaskotania!

Sztywnymi palcami odpiąłem rzepy kamizelki i zsunąłem ją. Zaraz zrobiło się wygodniej na leżąco. Jako poduszka kapok był w sam raz. Tyle że z samego leżenia to pożytku niewiele. I najeść się tym też nie sposób. Najeść się!

Trzeba przyjrzeć się tym skałotoczom pouczepianym jak grona do skały. To nie ostrygi, co prawda, ale całkiem znośne w smaku. I do tego prawdziwe białko, i prawdziwe kalorie. Inna rzecz, że trzeba nałupać pełne wiaderko, żeby było się czym najeść. Nałupać? Rozgniatać o skałę i zlizywać chyba... Można nadtlukiwać i chyba da się je potem otwierać? Nadtlukiwać... kajdankami. Niech będzie jakiś pożytek z tego żelastwa...

Zjadłem trochę, żeby tylko głód zaspokoić. Łyknąłem w trakcie kąpieli trochę słonej wody i wolałem nie przesadzać z surowizną. Biegunka potrafiła wyczerpać bardziej niż głód.

Teraz mogłem sobie pozwolić na dłuższą drzemkę. Pół godzinki. A potem trzeba spróbować wdrapać się na urwisko. I jeszcze troszkę zjeść tego paskudztwa.

Miejsce na wspinaczkę wyglądało nawet zachęcająco. Pionowe rozszczepienie skały, coś w rodzaju komina, pełne było pęknięć, szczelin i półeczek. A na dodatek jakieś czterdzieści stóp wyżej zaczynały się kępki zielska, wisiały jakieś korzenie, a nawet kilka całkiem solidnych krzaczków wczepionych w skałę. W sumie wejście oceniałem jako łatwe... dla kogoś, kto jest ubrany i w porządnym butach do łażenia po skałach.

Kapok przewiesiłem sobie na trokach przez plecy, popatrzyłem jeszcze raz w górę, starając się zaplanować kolejne kroki i uchwyty. Wreszcie wzruszyłem ramionami i zacząłem przelazić z płyty na płytę z głazu na gład, starając się jak najmniej kontaktować z wodą. A jeszcze dwa dni temu uważałem, że lubię sobie popływać! Ale pod samą ścianą i tak nie mogłem uniknąć dokładnej kąpieli. Między skałą a ścianą było z sześć stóp chlupoczącej wody, z upodobaniem kołyszącej różnorakie zielsko i wszechobecne śmieci. Zamoczyłem się z obrzydzeniem, ale jak tylko złapałem ręką pierwszy lepszy uchwyt na ścianie, to prawie frunąłem do góry kominem. W połowie wysokości komina trafiłem na szczelinę w sam raz na oparcie jednej nogi całą stopą i drugiej tak na trzy palce. Zaparłem się plecami z kapokiem o ścianę i zerknąłem w dół z ciekawością. No, no!

Zielsko raczej utrudniało wspinaczkę niż pomagało. Jako uchwyty było niepewne. A na dodatek kapok, którego nie zamierzałem się pozbywać jako jedyne niezaprzeczonego majątku, zaczepiał o zielsko i przeszkadzał. Dwa razy utknąłem przez to i musiałem się cofać w dół o stopę lub dwie. Ale w sumie szło nieźle. W momencie gdy zacząłem się zastanawiać, ile jeszcze tej ściany jest nade mną, nagle stanąłem na obszernym podeście skalnym, a przed nosem miałem cudownie łagodne, porośnięte dżunglą tropikalnego zielska zbocze. Już nie czarną, oślizgłą od wilgoci skałę! A cholerny ocean mógł mnie teraz uprzejmiem pocałować w... Koniec z brzydkimi wyrazami! Stary Pan B. pewnie jeszcze mnie lubi, no to po co mu ubliżać nieopatrzonym słowem i arogancją? Staruszek może jeszcze nie raz się przydać! Szczególnie, że czułem każdą kosteczkę i każde włókienko mięśni. I przydługie pływanie i małpia gimnastyka na skale odzywały się teraz, przypominając, że jestem posiadaczem dość starej metryki urodzenia. Dobry Pan B. jest wprawdzie litosierny, ale wcale nie ma obowiązku za każdym razem dokonywać cudów i ratować mojej skóry! Bo to, że wdrapałem się aż tutaj, było prawie cudem! I straty w tej operacji poniesione były niewielkie. Poobdzierana skóra na kolanach i przedramionach, drobne skaleczenie na

wierzchu lewej dłoni, długaśna czerwona krecha na brzuchu z perełkami już zakrzepłej krwi i naderwany paznokieć na paluchu prawej nogi. Taniocha!

A teraz odpoczynek! Padać nie zamierza. Ciepłko jest, nawet tutaj w cieniu. I jak znałem te strony, to w nocy nie będzie wiele chłodniej. A że należałem do tych szczęśliwców, którzy nie mają problemów z zasypianiem, ledwie walnąłem się na pierwsze równiejsze miejsce, podłożyłem pod głowę święty kapok i już spałem!